



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



JEZIORO DŁUGIE W POW. KOLSKIM.

ze zbiorów Oddziału Kujawskiego P. T. Kr.



## O ZNACZENIU WYKOPALISK. <sup>2)</sup>

Równocześnie ze wziniankową ewolucją poglądów, równocześnie z ustaleniem istoty skamieniałości, wzrosło zainteresowanie nimi, a one same, przestawszy być „igraszkami“ przyrody, zyskały wielką wartość naukową, stawszy się dokumentami historycznymi, pozostałymi z niesłychanie zamierzchłych czasów. Dokumenty te są tem cenniejsze, tem ważniejsze, tem różnią się od zwykłych historycznych, że będąc całkowicie obiektywne, nie są skażone żadnymi osobistymi poglądami i sympatjami historyka, gdyż sama przyroda wniosła je na karty kronik swej przeszłości. A tymczasem rzeczony dokumenty nie tylko wyjaśniają nam różne zmiany zaszłe na tej części skorupy ziemskiej, jaka stała się areną dla otaczających nas przejawów życia, ale również pouczają o samej historii rozwoju tego życia.

Przyroda pamiętniki swoje spisuje głównie na dnie mórz i oceanów. Mętne strumienie, płynące z pól i pagórków po każdym deszczu, rzeczki i rzeki przenoszą ogromne ilości różnorodnych materiałów skalnych, utworzonych na lądzie drogą wietrzenia. W podobny sposób przenoszony bywa piasek, glina, żwir... Wszystek ten materiał w końcu zanieiony jest do morza i układa się na jego dnie warstwa na warstwie, grzebiąc przytem trupy zwierząt morskich a nawet niekiedy lądowych, jeżeli te przypadkiem wpadły do morza. Na brzegu, w sferze przypliwów, gdzie zapamiętałe harcują fale, układają się na dnie duże otoczaki, przechodząc stopniowo w coraz to drobniejszy żwir. Ale dalej od brzegu, czyli głębiej, żwir już nie osadza się, natomiast na dno opada piasek, również najprzód grubszy, a potem, dalej, drobnoziarnisty, wtedy gdy glina, będąc bardziej lekką, zawieszona jest tu jeszcze w wodzie i osadza się dopiero znacznie dalej, w głębszych miejscach morza. Dalej jeszcze, do „przepaścistych“ głębi nie dochodzi nawet taki drobiazg; tam osadza się biały wapienny il głębinowy, tworzący się z milionów spadających na dno

skorupek otwornic (Foraminifera), jakie żyją pod powierzchnią wód oceanicznych. Wreszcie w wielkich głębokościach, gdzie wskutek ogromnego ciśnienia wody, jak również chemicznego jej działania pancerze pierwotniaków nie mogą istnieć, osadza się bardzo powoli t. z. czerwony il głębinowy, utworzony prawie wyłącznie z popiołów wulkanicznych i pyłu meteorytowego. Z takich głębokości (5000 m.) draga przynosi oprócz czerwonego ilu zęby rekinów i kostki słuchowe wielorybów, poza tem żadnych innych osadów organicznych na takich głębokościach nie zauważono. Istotnie olbrzymie ciśnienie wody zawierającej w sobie dwutlenek węgla ( $\text{CO}_2$ ) rozgryza i rozpuszcza tu wszystko, cokolwiek opadnie, i tylko najtwardsze kości—zęby rekinów i kostki słuchowe wielorybów—są w stanie oprzeć się chemicznemu działaniu wody tych głębin. Czerwony il głębinowy tworzy się powoli, na wytworzenie warstwy parę milimetrów grubej trzeba setek lat. Dlatego też draga za każdym razem przynosi znaczne ilości szczątków organicznych, a nawet zęby rekinów trzeciorzędowych, co dowodnie stwierdza powolne osadzanie się czerwonego ilu. Takie są najważniejsze materiały, którymi posługuje się przyroda w swych podwodnych drukarniach.

Cóż stanie się, gdy morze wyschnie, jak to nieraz było w dziejach ziemi, lub jeżeli przeniesie się na inne miejsce?

Morze, cofając się, obnaża swe dno, które wysycha, twardnieje i staje się lądem, podczas gdy w innem miejscu morza prowadzą w dalszym ciągu swe późniejsze, a w stosunku do nas nowsze, pamiętniki. Żwir i otoczaki przechodzą w brekczyste i konglomeraty<sup>1)</sup>, piasek scementowawszy się i stwardniawszy staje się piaskowcem, ily gliniaste prze-

<sup>1)</sup> Brekczyste — skały złożone z kanciastych okruchów spojonych ze sobą; konglomeraty podobne do nich, ale złożone z okruchów otoczonych. Po tem wyjaśnieniu zbędne jest tłumaczenie, dlaczego nie używam polskiego słowa: zlepienie.



chodzą w różne gatunki glin lub łupki gliniane, biały zaś il głębinowy przetwarza się w wapień.

I oto obecnie odsłonięte i skamieniałe dno morskie zawiera w sobie mnóstwo skamieniałych szczątków jego byłych mieszkańców.

W końcu w urwistych wąwozach, na podmytych brzegach rzek, w dolinach i t. p. widzimy odsłonięcia skał — poszczególne karty kroniki, zaopatrzone w niezwykle ilustracje: rzeczywiste szczątki zwierząt i roślin, bytujących w ówczesnym morzu, ich naturalne odlewy i odciski.

Kamienne te notatki są niezrozumiałe dla niewtajemniczonych w misterya nauki; przechodzą oni obok nich obojętnie, nie zwracając na nie uwagi; co więcej praca geologa, rozbijającego kamienie nie w celu odszukania rudy, lecz dla odszukania jakichś tam „muszelek“, wydaje się profanom nieprodukcyjną i nieużyteczną. Zobaczmyż, czy tak jest w istocie.

Zaznajomiwszy się z mechanizmem osadzania, łatwo pojmujemy, że pojedynczy fakt znalezienia ślimaków morskich w skałach jakiejś miejscowości (np. Częstochowy) dowodnie wskazuje, że miejscowość ta była ongi dnem morza, i że tam, gdzie obecnie szumią lasy, rozciągają się łąki i pola, gdzie rozrzucone są znane nam drzewa i wsie — ongi huczało rozległe morze. Pozostałościami tego kopalnego morza, świadczącymi o jego wygasłym, obcym nam życiu, są skamieniałe skorupy mięczaków blaszko-szkrzelnych (np. ostryg) i głowonogich, belemnitów (wewnętrzne szkielety wymarłych mątw), amonitów, z ich powyginanymi o perłowym polysku muszlami, morskich lilii, jeżowców, rozgwiazd i t. p.

Ale to jeszcze nie wszystko. Badając budowę geologiczną jakiegoś terenu na większej przestrzeni, można zauważyć przejście jednych pokładów w inne równoczesne do pierwszych, ale posiadające pewne odrębne cechy, jak inny skład, a nawet odrębną faunę. W ten sposób można zauważyć, jak wapień z fauną głębinową przechodzą w margle, następnie w gliny, piaski i piaskowce, zawierając kolejno głębinowe, płytsze i nadbrzeżne szczątki zwierzęce, w koń-

cu zaś widać konglomerat otaczający kopalny brzeg starego kopalnego morza. Tą drogą możemy odszukać granice, nie tylko oznaczając na mapach zarysy najstarszych mórz, lecz i większych wysp, zatok i t. p. Studyjąc warstwy starsze, leżące pod poznaniami, natrafimy na ślady innego, jeszcze starszego morza, którego zarysy znów poznajemy. Z zupełnym prawdopodobieństwem przekonujemy się, że morza i lądy wielokrotnie zmieniały swoje miejsca, że tam gdzie obecnie piętrzą się, uwieńczone śniegiem, niedostępne szczyty górskie, częstokroć jeszcze niedawno (w pojęciu geografii) szarzały fale morskie, że na dnie naszych oceanów zatopione są stare lądy i wyspy ze wszystkim, co na nich żyło. Przekonywamy się, że „oblicze ziemi“ stale zmienia się, że ta geografia, której uczono nas w szkołach, stosuje się tylko do chwili bieżącej, nie odpowiadając nawet niedawnej przeszłości, ani też prawdopodobnie przyszłości. Ileż takich „przeszłych“ geografii przesuwają się przed oczyma naszego umysłu! Ale na tem nie koniec: studyowanie kopalnych faun różnych jednocześnie osadzonych warstw daje możliwość nie tylko poznania głęboko i płytkowodnych faciesów i odróżnienia ich od osadów słodkowodnych, lecz pozwala wyróżniać klimaty minionych epok i zoogeograficzne okręgi przeszłości.

Niezależnie od wyżej wymienionych i innych celów naukowych, pozornie nieprodukcyjne studyowanie „muszli“, zawartych w skalistych pokładach jakiegoś wąwozu, posiada również wyłącznie praktyczne znaczenie.

W większości wypadków każdą warstwę, wchodzącą w skład skalistej powłoki ziemi (z wyjątkiem, naturalnie, utworów ogniwych i metamorficznych) charakteryzują pewne, jej tylko właściwe, skamieniałości. Wychoząc z tego założenia i znając zarówno kolejność wszystkich dostępnych nam warstw jak również ich rozciągłość, można wyznaczyć, na mocy znalezienia jednej skamieniałości przewodniej, miejsce w znanym nam schemacie, do którego należy dana warstwa z daną skamieniałością. Zważywszy zaś, że wiele z pośród tych warstw zawiera użyteczne kopaliny, jak węgiel kamienny, naftę, różne rudy, że pokłady tych kopalin przywiązane są do pewnych poziomów naszego



schematu, zrozumieemy, że jedna skamieniałość przewodnia, należycie charakteryzująca poznawany pokład, może być cenną wskazówką, kierując się którą, można znaleźć w danej okolicy węgiel, rudę i t. p., lub też skamieniałość taka może nas przekonać o bezskuteczności poszukiwań górniczych. Można z góry wyliczyć głębokość niewidocznego, ale istniejącego według wszelkiego prawdopodobieństwa pokładu węgla, jego rozległość, poziom wód artezyjskich i t. p.

Dotychczas pisałem o tem, jakie posiadają znaczenie szczątki wymarłych organizmów dla celów geologii historycznej i górnictwa, gdyż paleontologia — nauka o wymarłych organizmach była do niedawna tylko ancilla geologiae. Jednak skamieniałości, jako takie, posiadają ważne i ciekawe znaczenie, a to ich znaczenie jest, być może, najważniejsze.

Wzmiankowałem, że skamieniałości są szczątkami istot ongi istniejących, ale obecnie wymarłych. Studyjąc warstwy najstarsze i stopniowo przechodząc do coraz nowszych (t. j. wyżej leżących), widzimy jak pierwotnie uboga zawarta w nich fauna, w skład której wchodziły proste nieskomplikowane formy, stopniowo przechodzi w bogatszą, kwitnącą i bardziej skomplikowaną. W taki sposób poznajemy historię rozwoju świata organicznego, widzimy całe dynastie doszłe wspaniałego rozkwitu i będące nieraz panami ziemi, a potem nagle, bez widocznego powodu, karlejące i nawet zupełnie wynierające. Śledząc pierwotnie ubogi strumień życia, rozdzielający się później na tysiące odnóg, mamy możliwość wyodrębnić szeregi genetyczne organizmów, odcyfrować rodowody współczesnych zwierząt, wyprowadzając je od bardzo mało różnicowanych przodków, powiązanych z niemi częstokroć szeregiem organizmów przejściowych. Przekonywamy się o prawdziwości ewolucji świata organicznego, istotnej zmienności gatunków i dawno przypuszczanem pokrewieństwie wszystkich istot żywych.

Takie oto perspektywy, takie myśli snują się przed oczyma uczonego, badającego kamienne archiwum przyrody, opisującego i studyjującego zawarte w niem dokumenty historyczne. Stalowy młotek w rękach wtajemniczonego staje się tą różdżką czarodziejską, która ujawnia przepaściste głębie, odkrywa wnętrza skał — cmentarze wygasłych bojowników życia. I oto, jak gdyby na dźwięk trąby archanielskiej, wstają ze swych grobów dawno umarłe istoty, przyoblekają się w ciało i opowiadają nam o cudownem, pełnem tajemnic i czarów życiu, którego były świadkami... I czuje się wokół tchnienie minionego życia, obrazy przeszłości przesuwają się długim korowodem, z mglistych dali powstają coraz nowe widoki, coraz dalszych, coraz bardziej zgrzybiałych czasów, i mimo woli przypominają się słowa wielkiego poety i przyrodnika:

To co posiadam, we ingie się  
zaciera,  
A to, co znikło, życia kształt  
przybiera <sup>1)</sup>.

Tu jednak spotykamy przeszkodę, której nie sposób przewyciężyć, pomimo sił i woli. Geologia historyczna i paleontologia, jako nauki historyczne, mają naturalną granicę: zawarte są one w pewnych ramach, ograniczone w rozwoju i to w dodatku nie tyle ułomnością naszych zmysłów i umysłu, jak pozostałe nauki przyrodnicze, ile „okolicznościami“ od nas niezależnymi, — nieobecnością wielu dokumentów, a nawet całych arkuszy naszych kronik... A przecież te arkusze w żaden sposób nie mogą być odcyfrowane, w żaden sposób nie mogą być użytkowane do budowy naszych konstrukcyi logicznych.

C. D. N.

*Stanisław Lencewicz.*

<sup>1)</sup> W. Göthe. Faust, przypisanie.





## ZBIORY POLSKIE.

7)

### Zbiory graficzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem.

Nie będę wam opisywał zdarzeń, wrażeń podróży, bo ze sztuką nie mają najmniejszego związku, wolę natomiast zaznaczyć fakt, który nazwałby można arcy-pociesznym, gdyby, niestety, w swej istocie nie był nader smutny.

Mimojazdem wspominałem już niegdyś<sup>1)</sup> o szlachcicu, myśliwym na Litwie, który w swej praktyce nemrodowej doszedł do przekonania, że przybitka papierowa sprawia wystrzał więcej dalekonośny i nierównie mocniejszy niż ze zwykłych pakułów. Polityką szlachcica się nie zajmował, nie czytywał gazet, papieru więc w domu nie miał, ale natomiast posiadał odwieczne archiwum, które, za zwierzem „przecierając” knieje nadniemeńskie, wystrzelał do cna po dwudziestu latach.

Opierając się na przykładzie powyższym i na wielu innych, byłem pewny, że na punkcie tak wysoce oryginalnych pomysłów prym trzymają litwini, aż tu — bach! — panie, na kujawskiej ziemi spada mi z oczu bielmo i jak na dłoni widzę, że był w wielkim błędzie. A że tak, a nie inaczej jest, posłuchajcie państwo. Tam nad Niemnem, wynalazek owego szlachetki-nemroda, lubo sam stale i z uporem twierdził, że był arcy-donośny, właściwie takim nie był, bo jak chłop białoruski mówi:

„Puk! — try hrószy z ruk,  
dym husty, abied pusty“.

I święta prawda, boć celny wystrzał nie od przybitki zależy, ale od ręki i oka. Cała więc praktyczność tego wynalazku dyabła warta: byle „pudło“ — dubelt, szarak, cietrzew z „kosmykiem“ lub zadartym ogonem w las, w krzaki, a tymczasem ze wszystkimi swymi czyny kryjący się w przybitce antenat — chlup! — w wodę, w błoto i przepadł na wieki.

Zdumiewającą niepraktyczność wynalazku naiwnego litwina ulepszył, a raczej nie ulepszył jeno raz na zawsze genialnie rozwiązał, praktyczny, z kulturą piastowskich pono sięgającą czasów karmazyn kujawski. A że ów niezwykły wynalazek w niczem przysłówiowego

jajka kolumbowego nie przypomina, wnet się przekonacie. Wynalazek kujawski ma tę wspólność z litewskim, że tu i tam głównie chodziło o zużytkowanie najpraktyczniejsze niezdatnego psu nawet na budę antenackiego balastu. Dodawszy, że tam ów balast był pisany a tu malowany, zobaczymy, w jaki go na Kujawach sposób rozwiązano.

Gdy mowa o prastarej kulturze koronnej, wówczas choćby ktoś nawet z owem dardanel-skiem zwierzątkiem wyjeżdżał, dwu zdań być nie może. Owóż dzięki tej kulturze balast, o którym mowa, zastosowano na Kujawach nie do jakiegoś napół barbarzyńskiego myślistwa, ale jak najszczęśliwiej do... weterynaryi! Tak, panie dobrodzieju, do weterynaryi. A teraz kto ciekawy, niech nadstawia uszu. Fakty bez rozkładania na półmiski tak się przedstawiają. Nie jak ów litewski „szlachcic-machcic“, ale pan z panów, obok tego jak wszyscy kujawiacy zawołany rolnik, meblując swój nowo-wzniesiony dwór, jak to we zwyczaju u nas, kazał wynieść na spichrz wszelaką starzyznę, a więc: meble dawne, „lanszafty“ (szychy), oraz kilkadziesiąt olejno malowanych naddziadowskich portretów. Po latach, gdy już meble stylowe dobrze popróżniały, szychy szczury zjadły, stoi dziedzic rankiem przed otwartym spichrzem, a naprzeciw fornale zakładają konie. Wtem podbiega z pod stajni jakiś Stach, czy też Wach i nisko się się kłania:

— A to, proszę j. w. dziedzica, siwy sobie kark szpetnie zepsował, nie sposób zakładać.

Zaklął dziedzic wszystkimi dyabły i ze spichrza, gdzie się znajdowały wszelkie środki lecznicze, poleciał wydać pisarzowi do zasypiania owego sedna cokolwiek alunu.

Szukają alunu — niema, dolomityn wyszedł, i oleju również w buteleczce ani kropli niema!

Przy szukaniu tego ostatniego, oko j. pana przypadkowo się zatrzymało na antenackich portretach. Olej — przez myśl mu przemknęło — olejne portrety, a dyabli wiedzą, może wszystko jedno!

Tedy do Stacha:

— Masz kozik?

— Mam j. panie!

A, znacząc palcem na portrecie

<sup>1)</sup> „Księga pamiątkowa... A. Mickiewicza“ t. II, str. 18. Warszawa, 1898 r.



— Rźnij chłopie po to miejsce!

— Masz! — odzywa się podając fernalowowi kawałek portretu — siwego pod studnię, sedno wymyć, poczem, „plaster“ malowaniem do rany przyłożywszy, ruszaj w pole bronować!

— Słucham, j. panie!

Trzebaż zdarzenia, że do tygodnia sedno jak od najlepszego leku ściąga się, zabliznia; szlachcic, nie biorąc pod uwagę obmywania i zmiany chomonta, pewny że wpadł na środek najszybciej gojący, zaczyna go odtąd stosować stale, rad w swem skąpstwie, że złotówki w kieszeni zostają. Po latach kilkunastu, ostatni antenat na pasy pocięty wyleciał z swej ramy, a wkrótce po nim i praprawnuk, słynny wynalazca, przeniósł się od patres.

Com słyszał z ust najwiarogodniejszych, w pewnym gościnnym na Kujawach domu, o dyskretyę nie proszony, bez żadnych dodatków i haftowań podają najwierniej, w najzupełniejszym przekonaniu o niezwykłej praktyczności tego wynalazku. Tu, to rozumiem, tu ani kawałeczek płótna nie poszedł na marne!

Godziłoby się jeno, aby środek tak cudowny, tak znakomicie chłodząco gojący, pod nazwą dajmy na to: „Emplastrum anthenatorum Cuiaviensis“ po dokładnem opisaniu w farmakopei jak najprędzej został umieszczony na liście najradykałniejszych środków leczniczych.

Gdyby tego nie uczyniono, zwątpiłbym o litości dla osłów i wołów...

Serce moje tchnie wielką sympatyą dla prasy prowincjonalnej, jej rozwój niewymownie mnie cieszy, powodzenie o radość przyprowadza. Gdziekolwiek zajdę do czytelnicy lub jakiej redakcyi, przegląd pism nie od płacht stołecznych rozpoczynam, lecz właśnie od tych małych a niepozornych siewców światła na nowych placówkach. Lecz rzadki niestety traf, bym nie doznał zawodu: polityka, partyjność, duma petersburska, wybory, a jakże mało humanitarności, etyki, znajomości terenu i ludzi, przy zapomnieniu całkowitem o posłannictwie świętem, bo dziejowem! Obecnie, gdy tyle w ulu narodowym posiadamy trutni, gdy tylu jest ignorantów, profanów i niszczycieli dzieł sztuki, zabytków kulturalnych, najdroższych pamiątek, olbrzymią prasą prowincjonalną miałaby zasługę, gdyby nieustannie ucząc,

przestrzegając, a w ostateczności i bez obwijania gromiąc i piętnując, stała się stółcem i konserwatem tych skarbów odbicia duszy polskiej w ubiegłych stuleciach, które nas różniły odtąd od dzikich nomadów...

\*

Trafiają się niestety, chwile zwątpienia a zwłaszcza w dobie obecnej, świecącej próchnem rozkładu i zgnilizny, w dobie niemocy ubóstwiania wielkich ideałów, oraz całkowitego zatracenia pojęcia, że tylko przez trud, wysiłek i poświęcenie dla kraju i współbraci, jedyna i niezawodna prowadzi droga do zadowolenia wewnętrznego, do szczęścia. I gdyby chwile podobnego zwątpienia powtarzały się często, gdyby człek, jak na pociechę, na dróźnie swego życia, od czasu do czasu nie spotykał ludzi, którzy lepiej tuszyć każą o społeczeństwie, co ich wydało, zaiste lepiejby już było ledz raz na zawsze w chłodnej jamie-mamie, niż z trwogą patrzeć na tę ziemicę umiłowaną, którą spróżne wyrodky przedzierzgają w bagno zatracenia. Mówić chyba zbyt wiele, że na ludzi spotykanych na gościńcu żywota staram się z przyzwyczajenia spoglądać okiem psychologa, badając i analizując każdą duszę tak, aby nie doznać w następstwie przykrego zawodu! O! bo o to zwłaszcza nie trudno. Narodem jesteśmy wojaków od pierwszego natarcia, działaczów na krótki dystans, narodem przysłowiowych raków, które w zupełnem przeciwieństwie do ukochanych braci-sąsiadów ze wschodu, za młodu się wyszeptawszy w skutek zbyt zapalnej energii, hasła tylko, ale jałowe, w teorii zachowują, częstokroć w błąd wprowadzając ludzi dobrodusznych. Od takich zawsze stronię, wiedząc z doświadczenia, że która krowa ryczy, mało mleka daje. I omijając stale ryczących, wyszeptanych, pomny maksymy Korotyńskiego:

„Patrz na przyrodę, jak  
ona rób:  
Rozmyślaj, pracuj i milcz,  
jak grób“.



rys. P. Stachiewicz

z sympatyą a nieraz ze szczerym podziwem zatrzymuję się tylko przy cichych, milczących. Cechą bowiem trwałego czynu jest, że on bez rozgłosu, zwolna, jak ów



dąb w puszczy kielkuje, rośnie, w moc wielką i potęgę się wzbija. Jak z wielkiej chmury mały deszcz, tak samo z wielkiej wrzawy i objawia języka o zęby tworzą się rzeczy, które jak mamy przykład na licznych poczynaniach, zwykle bardzo krótko żyją. Właśnie jednym z takich ludzi, pamiętających o tem, że:

„Cicho tlen skałę zamienia w pył,  
By grunt z niej pszenny dla ziemi był..“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Wincenty Korotyński.

jednym z takich cichych a nieustannie działających w epoce bezprzykładnego obniżenia ideałów, zysków materialnych i wszechwładnie panującego interesu osobistego, jest pan Dominik Witke-Jeżewski, którego wysoce cenne, a tak mało komu znane zbiory postanowiliśmy tu właśnie opisać.

C. D. N.

M. Federowski.

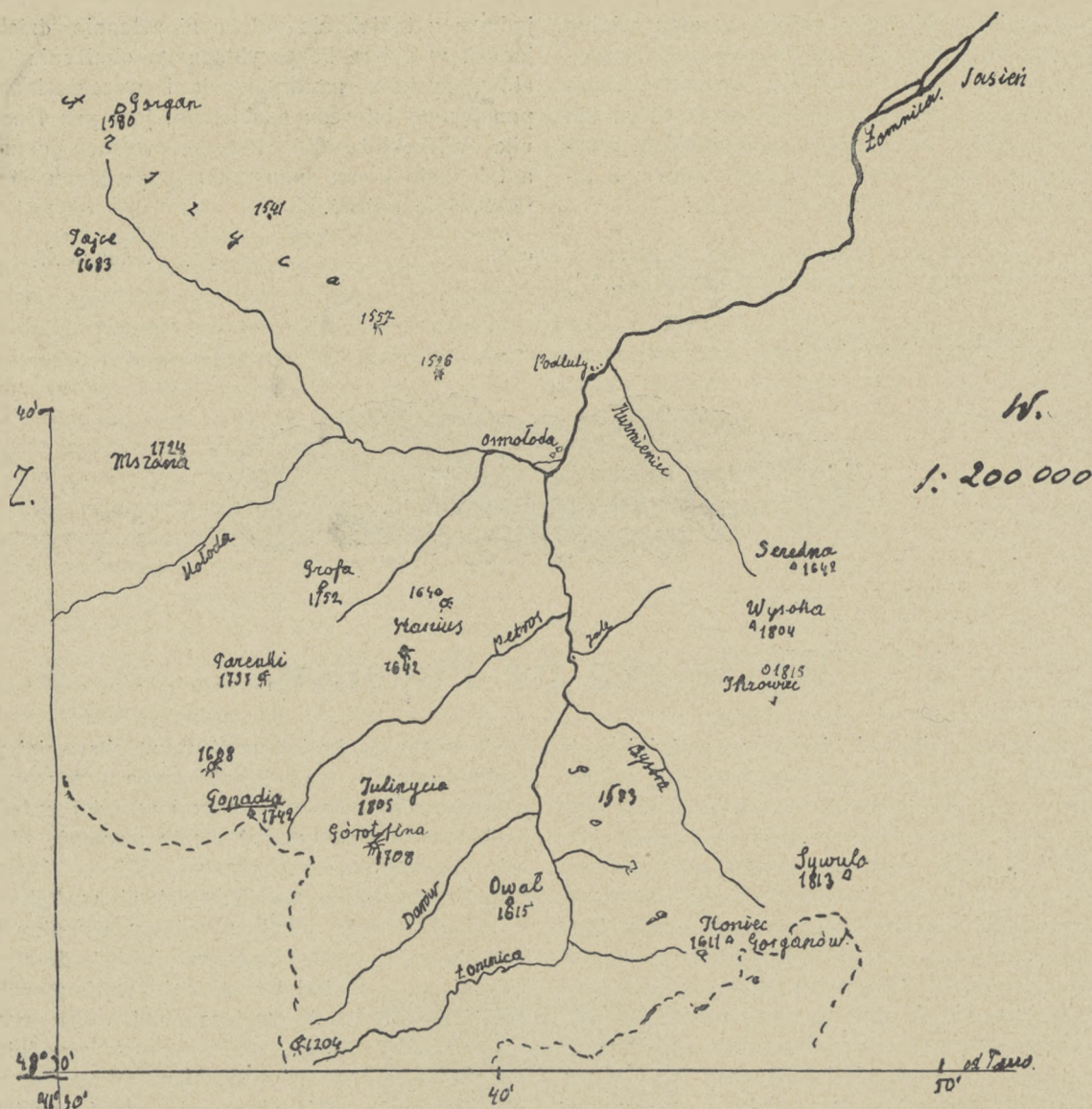


## Wycieczka na Popadyę.

Popadya stanowi jeden z ważniejszych szczytów jednego z kompleksów Karpat wschodnich, t. zw. Gorganów. Z nazwą jej jest związana romantyczna historia pewnej pięknej popady i Dobosza, znanego opryska z połowy XVIII w. Miał on mianowicie swą ukochaną wyprowadzić na ten niedostępny szczyt i tu z zazdrości czy też innych jakich powodów zamordował ją. Od czasów Dobosza mało kto był na Popadyi. Wogóle Gorgany należą do najmniej znanych części Karpat. Jednym z pierwszych, kto widział te strony, był Wincenty Pol, który urządził tę wycieczkę w r. 1840 z kilkunastu tragarzami, przewodnikami, pod opieką żołnierzy, była ona bowiem podówczas wprost niebezpieczna. Później było tu kilku uczonych, ale pierwsza większa wycieczka, która miała odwiedzić Popadyę, była właśnie nasza, urządzona i prowadzona przez prof. Romera.

W czwartek 6 czerwca o g. 7 rano wycieczka wyruszyła do Stryja. Droga prowadzi początkowo przez równinę, poprzecinaną od czasu do czasu przez bardzo szerokie, w części zasypane prastare doliny. Jest to t. zw. Opole, niegdyś lesista część galicyjskiego Podola, obecnie lasów prawie wcale nie posiadająca. W pewnej chwili przejeżdżamy wzdłuż południowej krawędzi płyty podolskiej, która nie jest tak imponująca, jak krawędź północna, bo ma zaledwie 10—15 m. wysokości. Koło Stryja przecinamy dolinę Dniestr i wkrótce wjeżdżamy w inny kraj. Różnice poziomów zna-

cznie większe, krajobraz żywszy, barwniejszy: to Podkarpacie, charakterystyczne przez swoje pokłady solonośne. Ku naszej wielkiej radości na horyzoncie można już wcale wyraźnie odróżnić poszczególne szczyty karpackie — i, o zachwycie, błyszczą one jakoś dziwnie w słońcu — to śnieg! Około południa stajemy na niewielkiej stacyjce, gdzie mamy przesiąść się do oczekującej na nas kolejki leśnej wązkotorowej, uprzejmie oddanej wycieczce do dyspozycji przez hr. Potockiego. Po uroczystem podpisaniu przez naszego przewodnika cyrografu, że nikt z nas nic sobie złego nie robi, nastąpił uroczysty odjazd. Po kilku gwizdnięciach, szarpnięciach, cofaniu się, niczem jak na kolejce wilanowskiej, szczęśliwie posunęliśmy się naprzód. Podziwianie krajobrazu, choćby najpiękniejszego, nie nasyci jednak ciała ludzkiego, to też nie zwracając uwagi na nasz podniosły nastrój duchowy, organizm upomina się o swoje prawa, a co za tem idzie zabieramy się do rewidowania zawartości swoich plecaków. Spożywanie darów bożych jest jednak co chwila przerywane, bo na prawdę jest na co patrzeć i nad czem się zastanawiać. Oto kolejka opuściła się trochę w dół i jedzie teraz po terenie utworzonym z większych i mniejszych otoczków — najwyraźniej po żwirze rzeczonym; gdzieniegdzie snuje się woda. Skąd się wzięły te żwiry? A jest ich dużo, bo jak roboty przy budowie kolejki wykazały, miąższość ich sięga 20 m., a do dna ich jeszcze nie dosięgnięto. Jest to ni-



MAPKA GORGANÓW.

rys. Reg. Danyszówna.

mniej ni wlecej tylko olbrzymi stożek, usypany przez Łomnicę, prawy dopływ Dniestru. Utworzenie jego datuje się z odległej epoki ostatniego najsilniejszego zlodowacenia, kiedy to lodowiec północny podchodził prawie pod Lwów. W tych czasach wyżyna podolska prawie nie istniała i Dniestr zupełnie spokojnie sptywał na południe. Po usunięciu lodów nastąpiło podniesienie się płyty podolskiej, Dniestr i jego dopływy miały utrudniony odpływ i zaczęły osadzać materiał przynoszony z gór. Nastąpiła później znowu faza silniejszej działalności erozyjnej, czego dowodem jest taras żwirowy spotykany nad Łomnicą i jej dopływami.

Powyżej Jasienia, gdzie się znajduje początek tego olbrzymiego stożka i gdzie rzeka dzieli się na kilka ramion, dolina zwęża się znacznie,

góry co raz bardziej podchodzą ku rzece. Nie są to góry dzikie, nie przypominają w niczem Tatr, nie widać tu prawie zupełnie nagich stromych skał, formy względnie łagodne, zaokrąglone i całe zbocza pokryte lasami. Oko z przyjemnością spoczywa na ciemnej zieleni świerków z lekką domieszką jodły, rozjaśnioną jasnozielonym tonem buków i seledynowym kolorem brzoź. Naraz, raptownie następuje zmiana w krajobrazie roślinnym i geologicznym. Prostopadle nad nami wznosi się wspaniała potrzaskana skała, tworząca typowy, olbrzymi komin, a w jej szczelinach, na szczycie wyrasta znana mieszkanka naszych równin mazowieckich czy podlaskich — sosna. To piaskowiec jamneński (kreda) z charakterystyczną dla niego florą. Na innych skałach sosny w Karpatach nie spotyka się.





Zrzadka też spotykamy ludzi. Całe terytorium, przez które przejeżdżamy, należy do metropolii ruskiej, znajduje się tu zaledwo kilka wsi, ale za to są one bardzo duże; np. największa z nich, Perekińsko, liczy koło 8 tysięcy ludności. Ludność ruska, nie lenculi, postacie dosyć duże, czarne, o prostych, długich włosach. W ubraniu przeważa kolor biały i brązowy; nawet kozuchy, które pomimo upału ludzie noszą na sobie, są z białych skór owczych. Kozuchy mają formę odrębną — dosyć długie, prawie do kolan, bez rękawów z dużym okrągłym wyłożonym kołnierzem, po wierzchu skóra lekko wyszyta, na nogach kierpce



fol. F. Silnicki.

GRUPA GÓRALI Z OSMOŁODY.

skórzane, na głowie niewielkie czarne filcowe kapelusze, otoczone kilkakrotnie kolorową krawką; kobiety noszą na głowie zwinięte kolorowe chustki.

Powoli zbliżamy się do niewielkiej wsi Podlute, ale postój ma być trochę dłuższy, bo proponują nam obejrzenie pałacyku b. metropolity ruskiego S. Sembratowicza. Jest to swego rodzaju unikat — cały dom z drzewa limbowego, które bardzo łatwo poznać po czerwonym odcieniu. Wystawienie tego domu było i z tego względu dosyć trudne, że w tej części Karpat limby spotyka się obecnie dosyć rzadko.

Wreszcie po kilkunastu jeszcze minutach drogi dobiegamy do ostatniej stacji Osmołody, co przetłumaczywszy na polski znaczy — ujście Mołody (strumień).

Z radością opuszczamy trzęsące wagony i twarde ławki — i zaraz marsz w drogę, bo czeka nas 6-kilometrowa droga, a godzina dosyć późna, — po 5-ej.

Niestety: — w jednym miejscu most jest popsuty, więc musimy przelazic płoty, aby dostać się do typowego mostku górskiego, złożonego z 3 desek, długości około 30 m., trochę krzywych, chwiejących się i bez żadnego oparcia. Jakoś szczęśliwie przebrnęliśmy tę przeszkodę i wydostaliśmy się na wspaniałą drogę leśną. Droga rzeczywiście może wprowadzić w zdumienie. Zdala od większych osad ludzkich, prowadzi tylko do wyrobów leśnych, a gładka, równa, bez wyrw, bez wyboi, śmiało może rywalizować z najlepszymi naszymi szosami. Prawdę powiedziawszy warunki morfologiczne tło-

maczą nam doskonałość drogi, bo oto idzie ona po bardzo słabo nachylonym zwirowym tarasie Łomnicy, — a więc nie wymagała żadnych sztucznych robót i materyał był na miejscu.

Po takiej drodze maszeruje się dobrze, szczególnie gdy się jest młodym, gdy ożywia nadzieja zobaczenia pięknych widoków, gdy się ma takiego jak nasz kierownika, i gdy na pogodnym zupełnie niebie świeci już nieszkodliwe słońce. Koło g. 7 stanęliśmy na stacji leśnej nad potokiem Jale (prawy dopływ Łomnicy), gdzie otrzymaliśmy wcale możliwy nocleg, t. zn. 3 łóżka dla 13 osób i ani jednej wiązki słomy czy siana — bo to przednówek. Nam, niewiastom, jako istotom słabszym i delikatniejszym było bardzo wygodnie, bo odstąpiono nam łóżka; płec brzydka musiała pomieścić się na podłodze, korzystając z kilku zaledwie kołder oraz peleryn. Wcześniej ułożyliśmy się spać, bo na drugi dzień t. j. w piątek z samego rana mieliśmy wyruszyć na zdobywanie Popadyi. Szum potoku i śpiew słowika były miłą muzyką, kołyszącą do snu.

Energiczne stuknięcie w drzwi, poparte rozkazem profesorskim, zrywa nas na nogi o g. 3 rano. Na gwałt szykowanie śniadania, zbieranie manatków i o godzinie 4 już jesteśmy w drodze.

Ścieżka prowadzi przez kładkę na drugą stronę Łomnicy, a potem w górę strumienia Pietros. Początkowo wszystko idzie pomyślnie. Las względnie dosyć młody, mniej więcej 40-letni, im dalej w głąb tem starszy, wykroty liczne, ale można je przechodzić łatwo; — ale



sytuacja zmienia się, gdy wypada iść po zboczu góry. Zbocze porośnięte lasem, jest całe z piargu, grubo obrośniętego mchem, co wcale nie ułatwia wdrapywania się. Przy tem zbocze jest nieprzyzwoicie strome. Normalnie, stoki, usypane z materiału luźnego (nie twarda skała) miewają do 33° nachylenia; ten zaś, jak okazuje się po wymierzeniu klisimetrem, ma 37°; prawdziwa tragedia następuje, gdy dla ominięcia olbrzymiego wykrotu, trzeba się pięć prostopadłe w górę, — wędrowka na kolanach i rękach — a i to niewiele pomaga, bo krzaki, za które chwytny, i kamienie — wszystko jedzie w dół. Wogóle całe zbocze znajduje się w powolnej wędrowce ku dołowi. Można to skonstatować po drzewach. Wspaniale wyglądają kilkudziesięciometrowe nieraz świerki, pociągane przez piarg ku dołowi, w dolnej swej części wygięte w łuk, a wierzchołki wznoszące dumnie, prosto ku niebu.

Przy tem przedzieraniu się przez las konstatujemy jeszcze jeden fakt, który obala dosyć powszechnie przyjętą metodę orientacyjną w lesie — mianowicie drzewa są obrośnięte mchem od strony południowej, poł.-wschodniej i poł.-zachodniej, ale nie od północnej. Rozwiązanie zagadki jest bardzo proste — mech jest funkcją wilgoci, a ta jest przynoszona w tym wypadku przez wiatry południowe i poł.-zachodnie.

Trochę zmachani, a głównie zgrzani stajemy nareszcie w dole nad Pietrossem. Niejednemu przychodzi chętka wykapać się, ale doniosłym głosem dokonane oznajmienie, że woda ma tylko + 6° C., odbiera ochotę nawet najgorętszym zwolennikom kąpieli.

Posilamy się czekoladą, cytrynami, wodą, i dalej w drogę. Droga bardzo wygodna, szeroka, wkrótce pójdzie po niej kolejka. Zadowoleni z tak szczęśliwej dla nas okoliczności maszerujemy rażno naprzód — gdy naraz droga się urywa nad samą rzeką — i nie widać żadnego mostu, nawet żadnej kładki. Ha, trudno, radzi nie radzi ściągamy obuwie i w bród na drugą stronę — choć się nogi kulą przy zetknięciu z zimną wodą; za to potem idzie się jeszcze lepiej.

Ludzi nie spotyka się wcale, choć po drodze widać sporo szalasów z kory drzewnej: wszystko, co tu przebywa, znajduje się już u roboty na zboczach, gdzie bez miłosierdzia trzebią wspaniale lasy.

Okolo południa dochodzimy nareszcie do głębokiej i wąskiej doliny, położonej u samych stóp Popadyi. Przed tak poważnym przedsięwzięciem, jak zdobycie szczytu, mającego 1747 m. wysokości (od miejsca, gdzieśmy się znaj-

dowali pozostawało jeszcze przeszło 700), trzeba nabrać sił — to też rozkładamy się obozem i zabieramy do gotowania obiadu. Przysiadł się do nas góral, który dzierzawi wyrąb w tej dolinie, i dowiedziawszy się, że idziemy na Popadyę, oświadczył, że może na 4 tam będziemy. Z niedowierzaniem przyjmujemy tę wiadomość, bo według naszych obliczeń 2 godziny powinny wystarczyć na wydostanie się na szczyt.

Ale „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi“. Po solidnym odpoczynku początkowo wszystko szło dobrze. Droga prowadzi doliną, a później stromym i dla naszego geograficznego oka dziwnym żlebem. Przy wielkim spadku w górach woda zabiera ze sobą nawet duże kamienie i znosi je w dół, w ten sposób górne łożysko wód płynących jest zwykle wolne od luźnego materiału i ma kształt wklęsły; tymczasem żleb, którym się posuwamy, jest wypukły, to znaczy że wody nim płynie mało i cały materiał, obsuwający się z góry, zatrzymuje się tu na stałe. Do wierzchu żlebu towarzyszy nam las, ażeby zaraz potem urwać się na wysokości 1520 m. W lesie na wysokości 1360 m. spotykamy też pierwszy śnieg silnie zdeformowany, twardy, krystaliczny. Powyżej lasu niewielka polanka, a nad nią wróg zakamieniały turysty, kosodrzewina.

Kto nie spacerował po kosówce, ten nie ma pojęcia, jaka to miła wędrowka; całe ciało, nogi, ręce w ruchu — tu chwytny, tam przytrzymuj, a kosówka się ugina, pręży, niczem sprężyna z najlepszej stali; jeden nieobmyślony krok — i leżysz człeczce na ziemi, a nad tobą wznoszą się dumnie dopiero co pokonane gałęzie kosówki. Szczęściem po blisko godzinnym marszu, w czasie którego zrobiło się zaledwie kilkanaście metrów w górę, wydostaliśmy się na piarg, po którym wdzieranie się przychodzi łatwiej — jest to typowy piarg piaskowca jamneńskiego, złożony z dosyć dużych kamieni, nie usuwający się z pod nóg. Na wysokości jakichś 1700 m. spotykamy wspaniałe pole śnieżne, po przekroczeniu którego znajdujemy się nareszcie na szczycie Popadyi. Jest godzina 5 — rachuby nasze najzupełniej zawiodły.

Ze szczytu Popadyi, przez który przechodzi granica polsko-węgierska, rozciąga się jeden z najpiękniejszych widoków, spotykanych we wschodnich Karpatach. Widać stąd ważniejsze szczyty Gorganów — jak Wysoką, Sywulę, Małą Popadyę, Góratwinę, na wschodzie dość wyraźnie odcina się na horyzoncie Czarnohora, a trochę bliżej Świdowiec. Wszystkie te góry błyszczą w słońcu, bo znajduje się na nich śnieg. Co prawda nie pokrywa on wierzchołków, lecz



tworzy jakby półkolistą, grubą opaskę od strony wschodniej i półn.-wschodniej i opaski takie znajdują się nawet na niskich przełęczach.

Zjawisko to zawdzięcza swoje istnienie panującym wiatrom zachodnim i poł.-zachodnim, które przez całą zimę zwiewają śnieg na przeciwległe stoki, zbijają go tu w długie, zbite wały, które następnie najdłużej opierają się destrukcyjnej sile słońca.

Rzuca się też w oczy i druga cecha charakterystyczna grupy Popady, mianowicie kompletny brak połonin. Na górnej granicy lasów spotykają się niewielkie tylko polanki, a zaraz powyżej ziemia bywa pokryta mchem islandzkim i kosodrzewiną, która dochodzi prawie do samego szczytu.

Powrotna droga idzie już dużo łatwiej; pomyslnie omijamy kosówkę i koło g. 7 znajdujemy się na tem samym miejscu, gdzieśmy obiadowali. Odpoczynek, pokrzepienie sił herbata i innemi stałemi materyami i marsz w drogę. Noc dosyć ciemna, bo księżyc wschodzi dopiero koło północy, ale niebo pogodne iskrzy się licznymi gwiazdami; miły nastrój nocy letniej psuje nam tylko myśl przechodzenia rzeki w bród: po nocy tak łatwo poślizgnąć się i wykapać w ubraniu — a to nie należy do przyjemności. Trzeba szukać przewodnika. Ludzi jest dość, tylko niestety wszyscy po przeciwnej stronie rzeki. Przypominają się mimowolnie bajki o czarownikach zajętych w noc ciemną warzeniem tajemniczych napoi; — bo oto na tle ciemnego lasu rozbłyska kilka plam jaśniejszych, w fantastycznym czerwonym oświetleniu ogniska porusza się kilka białych postaci: jedne podsycają ogień, drugie mieszają coś w wiszącym kotle. Ładne to, ale dla nas niestety niedostępne. Po dłuższych nareszcie poszukiwaniach znajdujemy jeden szałas po tej stronie rzeki i udaje się nam skłonić górala do wskazania nam drogi przez rzekę. Przewodnik zostaje nawet zobowiązany do przeniesienia niewiast przez wodę, ale widać mu się to nie uśmiecha, bo po długim kręceniu przeprowadza nas po jakichś kładkach i olbrzymich wykrotach na drugą stronę. Podróż jest tem fantasty-

czniejsza, że drogę oświetla drgający, to niknący, to z nową siłą wybuchający płomień łuczycywa. Koło g. 1 księżyc ukazał swoją tajemniczą twarz, a wkrótce potem i słońce nadeszło swoje pierwsze promienie, tak że już za białego dnia o g. 4 rano stanęliśmy z powrotem na leśnej stacyi nad Jalu.

Ulitowała się matka-przyroda nad naszymi srodze zmęczonemi nogami—rozpadał się deszcz i rozszalała się burza, tak że radzi nie radzi, pół soboty przesiedzieliśmy w mieszkaniu. Dopiero przed wieczorem wyruszyliśmy na niewielki spacer w górę Łomnicy. W czasie tego spaceru skonstatowaliśmy ciekawy fakt meteorologiczny. Mianowicie po stanie wód Łomnicy i dopływów okazało się, że burza poranna obejmowała Popadę i kilka najbliższych dolin — strumienie wypływające z pod Popady miały wodę mętą, gdy tymczasem górna Łomnica i jej dopływy prawe niosły wodę zupełnie czystą. W górach burze są zjawiskiem arcylokalnem, obejmującym nieraz kilkaset kilometrów kwadratowych.

W niedzielę nastąpiło zakończenie wycieczki. Powrót odbywał się znaną już drogą leśną, a że czasu było dosyć, więc po drodze oddawaliśmy się rozmaitym ćwiczeniom, jak oznaczanie położenia gór przy pomocy busoli, odnajdywanie wysokości gór przy mocy klisimetru i t. p., przytem obserwowaliśmy jeszcze rozmaite zjawiska morfologiczne, których jednak nie będę opisywała, bo bez zobaczenia na terenie są bardzo trudne do wytłumaczenia.

Koło g. 1 zatrzymujemy się na ostatnim naszym postoju nad strumieniem Kuźmieńcem, skąd o g. 3 zabiera nas kolejka.

Z żalem żegnamy ten piękny szmat ziemi. Chociaż nie narażało się życia, nie było denerwujących chwil, tak pożądanych przez turystów, za to spostrzegawczość i dar kombinacji wiecznie musiały być czujne. A ile zdobyło się nowych wiadomości naukowych, ile nowych horyzontów myślowych otworzyło się przed nami, — a to wszystko dzięki nigdy niestrudzonym dobrym chęciom naszego przewodnika, prof. Romera.

*Regina Danyszówna.*



## Witebsk i Witebszczyzna. <sup>7)</sup>

Obejrzelismy się, aż saperzy już kawał odeszli, nie mieszkając tedy w te tropy za nimi. Tuż za pagórką cementarną poczyniała się wieś długa z końca w koniec spalona, wyludniona, którą tylko rumowiska i zgliszcza znaczyły. Przeszedłszy wzdłuż ulicę, widzimy, że saperzy poza wsią biwak rozkładają; tedy i my, dłużej już nie mogąc żartem brzucha opędać, chętnie i wesoło to samo czynimy. Sterczał w końcu wsi jedyny komin, ze zgliszczów sądząc widocznie karczemny, ranni więc, starsi i słabsi kołem go obsiedli, a ci, w których dusza więcej była rogata, nuż ściągając osmalone żerdzie i gałęzie. Buchnął wkrótce wielki pod kominem ogień, skry się sypią, jałowiec niby szwedy na patelni skwierczy, a wiara podżartowyywa, chrupiąc chleb szczerstwiały: „ślinę łykajcie, wnet będzie słonina!”

Wtem jeden z kamratów, biorąc sobie cegły pod kominem na siedzenie, na kocioł trafia wmurowany. Zerwali się wiarusi — górą nasza! — krzyczą — mieć będziemy, co się zowie warzę! Po chwili kocioł wyjęty, śnieg weń nasypany, ten wrzuca doń z torby kawalek koniny, ten suchą kromkę chleba, ów gnat nieogryziony, inny garstkę soli. Ogień bucha, ciepło, na duszy wesoło. Wtem, naści lichu! — widzim, że cała chmara maruderów wprost na nas wali od owych mogiłek. Zerwał się wachmistrz, zaklął: strachy nie na lachy! rzeczce, i z karabinkami w poprzek drogi postawiwszy dwunastu z trębaczem: „Wal w łeb — rzeczce — który ośmieli się zbliżyć i skończona sprawa!” Podchodzi kupa tałałajstwa — sygnał, my na cel, ale karabinki nie stuknęły je-

szcze o ramiona, a ciury, jak kosą ścięci, leżą już na ziemi! W ten sposób z punktu ich osadziwszy, byliśmy już do końca w zupełnym spokoju. Tarzało się to łajdactwo, gryzło, biło z sobą, ale ani na krok nie ośmielało się zbliżyć. Czekali zdala, jako wilki na żer, gdy proch na panewce zwietrzywszy kłapią zębiskami. Zluzowali nas wkrótce towarzysze, a że głodnemu i chleb spleśniały specyał, więc i nam owa kamratka, jak ją dowcipny trębacz nazwał, smakowała jak królewskie danie. Po wieczery buchnął jeszcze większy ogień, ten, ów fajkę

zapala, gawędzi, aż wtem z pobliza od saperów dolatuje sygnał, więc niema co, za broń, torby i ruszamy śladem. W tej chwili, zrywa się cała zgraja szwabów i z krzykiem, na przelaj a przeze łby, ku ognisku pędzi. Przystanął wachmistrz, my za nim i patrzym, jak się owa hałastra podzieli wodzianką, której jeszcze dobre pół kotła wrzało po hojnym dosypaniu śniegu. Dobiegają najpierwsi — nuż czerpać czapkami, za nimi inni, aż i cała chmara. Wśród strasznych klątw, bójki skłębiła się zgraja, naraz trzask, wrzask piekielny dolatuje uszu, a jednocześnie buchnął w górę snop iskiei, kłęb pary i robi się ciemno. Gdzie buchał przed chwilą ogień, tam wijących się ciał

### TYPY LUDOWE.



WŁOŚCIANIN Z POW. LEPELSKIEGO.

ze zbiorów P. T. Kr.

ludzkich wzniosł się cały kurhan. Jedni okrutnie, jak dusze w czyszczu jęczą, wijąc się z bólu, jak węże, inni zrywają się z kupy i wyjąc strasznie latają jak szaleni, ci zaś, na spodzie, zdeptani, poparzeni na śmierć, w agonii charcząc żywcem smażą się na ogniu! Felczera z nami nie było, zaradzić nie mogąc, przyspieszonym krokiem ruszyliśmy



z miejsca. Idziemy, księżyc świeci, a o tem, że zło zawsze w parze chodzi, nikt ani pomyśli. O kilka staj był lasek przy drodze, podchodzimy, aż wtem — paf! paf! za nami. Maszci dyabli! A to co nowego? Przystanąwszy, nasłuchujem, aż znów strzały, a z nimi pisk, świst, wycie, krzyki dolatują ze wsi. Marsz! zakomenderował wachmistrz, i wnet już pod lasem: baczność! broń na pogotowiu! Ledwośmy stanęli, aż ze wsi wywała się na drogę chmara maruderów, a na karkach już im siedzą duczni kozacy, dźgając siekając bez litości, żadnego pardonu. Na blizki strzał przypuściwszy, wachmistrz — pal! zakomenderował, plunęliśmy z poza drzew ołowiem. Patrzym, zsunęło się kilku z koni, inni z piskiem a świstem rozbiegli się po polu. Z hołoty tej, co ani męki Pańskiej nie uszanowała, ani poświęconych grobów, zaledwo do nas dobiegło piętnastu. Inni we wsi i na drodze leżeli pokotem. Gdy wspomnę o tem, zawsze myślę — istna kara boska!

W lat kilkanaście potem, gdy już naratona-napoleonistę apel z tego świata powołał na inny, na Białorusi, 80-letnia Teresa Koltupajlina, wspominając rok 1812, między innymi, opowiedziała mi kilka takich oto faktów. Miałam już lat 13, gdy wielka wojna wybuchła; w zaściankach jak na wielkanoc było wesoło, starsi o wojnie wciąż rozprawiali, chłopcy, jadąc na noclegi wojackie, dzień po dniu piosenki śpiewali. Bywało, kawalerowie wciąż tylko straszą panny, że pójda wojować, a jeden z nich, Rudziejowski, nie mogąc posiąść ręki bohaterki<sup>1)</sup>, odezwał się do jej ojca: „Nie dajecie, cóż zrobić, głową muru nie przebić; poczekawszy, jak wróce oficerem, będzie Bóg łaskawszy!“ I poszedł zaraz biedak i w pustem musić polu ożenił się z Piaskowską<sup>2)</sup>, bo już go więcej u nas nigdy nie widziano. Dziewczyna dziesięć lat czekała, płakała, aż krasy się pozbyła i wyszła za wdowca. Wkrótce potem, zamiast wesołości po dworach lęk powstał, obawa, bo wieści zaczęły latać, że niemcy, co z Napoleonem idą na moskała, napadają, mordują, wszystko grabią, palą. To też zaraz po żniwach, jak dzień tak noc młócić zaczęto na zamianę i wraz zboże, wędliny i wszelkie zapasy nocami wywożono do lasów i chowano w jamach. Doly kopano na pagórkach, w żwirku, cembrowano, smarowano gliną, poczem do sucha wy-



ze zbiorów P. T. Kr.

CIEŚLA Z LEPLA.

paliwszy, wszelkie tam dobro bezpiecznie składano. Sklepienie mchem albo igliwem pokrywano tak, że kto miejsca zapomniał, to i sam nie trafił.

Gdy wieść o zbliżeniu się maruderów doleciała do nas, najprzód wypędzono żywioł<sup>1)</sup> w lasy, gdzie majdany ogrodziwszy na noc zapędzano. Kobietom, nie daj Boże, jaka męka była, musiały bowiem świat drogi, po wertepach do udoju biegać. Niebawem, we wsi tak małej jak nasza strach było nocować, gdyż byle wieczór łuny naokoło, a od łajdaków ze świata całego roily się drogi. I bywało, dzień przy dniu chłopcy ze strzelbami na kopcach granicznych wartę odbywają, a tymczasem ludzie na niwach, łące i warzywnikach usilnie pracują, a gdy słońce się schowa, zapadają w lasy i tam

<sup>1)</sup> Bohatyrka — zamożna, bogata.

<sup>2)</sup> „Ożenić się w pustym polu z panną Piaskowską“ — poledz na wojnie. (Przysł.).

<sup>1)</sup> Żywioł — żywina, inwentarz żywy.



dopiero za jednym zasiadem przy ognisku się odbywa wieczerza z obiadem<sup>1</sup>. Z zapadnięciem nocy, aby licha nie sprowadzić, ognie ludzie gasili, żarek zostawiając. I bywało, jedni w szalaskach śpią, albo po cygańsku na wozach pod budami, a inni na zmianę do świtu stróżują. Jeszcze dopóki trwało ciepło to było półbiedy, ale z nastaniem chłodnych nocy jesiennych zamiast snu odbywało się 'dzwonienie zębami, bo ogniska, wiadomo, strach było zapalać. I bywało, gdy tak biaduję na głód, chłód, niewygody, to nieboszczyk ojciec podżartowywa z nas sobie i: „o dziatkiż wy moje, — mawia — wojna, to nie Dziady<sup>2</sup>), — wyniesiesz duszę całą, to i za to Panu Bogu dziękuj!“ I bywało, gdy ruszamy na grzyby, na orzechy, przestrzega nas również ojciec, aby broń Boże, w lesie nie hukać i nie odpowiadać na żadne wołania, bo byle tylko łotrom wpadł ktokolwiek w ręce, to go dotąd katują i męczą, aż im w końcu pokazać musi, gdzie zapasy skryto. A z byłem najgorzej było, bo gdy tylko wybiegnie krowa z lasu, wół, cielę na pole, zaraz rzną i pieką sobie, jak swoje na ogniu. To też pastuchom naszym aż nogi popuchły, tembardziej, że byle zaryczało bydlę, trzeba zaraz het daleko w las pędzić, bo wiadomo, że Pan Bóg strzeżonego strzeże. Między tymi włóczęgami, mówiono, było sporo naszych i tych trzeba się było wystrzegać najwięcej. Bywało, taki zajdzie do lasu, zahuka i krzyczy: „Krysiu! Marysiu! spyni, karouka na polu!“ to inna, wiadomo, głupia jak wrona, myśląc ze swój, wyskoczy z lasu i gubi tak siebie jak i wszystkich swoich. O, kto wtedy chytry nie był, to marnie przepadał!

I jeszcze dla upamiętnienia faktów, które przed stoma laty rozgrywały się na przestrzeni dawnej Witebszczyzny, sądzę, że czytelnicy do mnie żalu mieć nie będą, gdy w streszczeniu, poniżej garstkę podam mało znanych a ciekawych z punktu obyczajowego wspomnień<sup>3</sup>), za-

<sup>1</sup>) „Za jednym zasiadem wieczerza z obiadem“, przysłowie na Litwie szlachty zaściankowej.

<sup>2</sup>) Dziady, na Litwie doroczna uroczystość, podczas której najczęściej występuje potraw, ale nie innych tylko takich, które nieboszczycy, zmarli na tej ziemi lubili; stąd przysłowia: „Nie zawsze Dziady“, (lub porównanie: „uczta, biesiada suta, jak na Dziadach“), poczęści odpowiadające naszemu: „Nie zawsze świętego Jana“. Bezwątpienia przysłowie to zapożyczono od białorusinów („Nie zausiady, jak na Dziady“).

<sup>3</sup>) Ob. „Opisanie powiatu Borysowskiego“. Wilno, 1847 i tegoż „Nasze Strony“. Warsz. 1871.

pisanych przez Eustachego hr. Tyszkiewicza, wielkich zasług archeologa oraz krajoznawcę.

Straszny i okropny — pisze Tyszkiewicz — po przejściu francuzów był widok Ściudzionki<sup>1</sup>). Wieś doszczętnie spalona, mieszkańcy rozegnani, pole krwią obficie zbroczone, trupem i rannymi zasłane. Jęki okrutne przeszywały powietrze, ratunku znikąd, mróz srogi nielitościwie krępował ciało i wyciskał ducha. Stokroć szczęśliwszy, kto zginął, bo uniknąwszy cierpienia, nie czuł i nie widział tych scen okropnie wstrząsających, które się tu działy. Obok żołnierzy poległych, mnóstwo dzieciaków leżało zmarzłych, pokłótych i pozarzynanych. Inne potracone przez matki, zziębnięte, płaczące i zgłodniałe błąkały się, potykając co chwila o trupów na tem polu śmierci. Jedne z nich, szczęśliwsze, przyprowadzone lub przyniesione do dworów okolicznych, dostały się w ręce litościwe; inne, a tych było nierównie więcej, przez włościan zabrane, szły w handel i jako żywy towar były sprzedawane. Na wszystkich targach i jarmarkach chłopci dziewczynki kilkoletnie sprzedawali po złotych pol. 10 i taniej, a niemowlęta za bezcen zbywali. Małeństwa owe bezimienne, a tak nieszczęśliwe, gdyż z pewnością być musiały córkami wyższych oficerów, nabywcy, po większej części, obracali na sługi swe, na młodsze, pokojówki, kawiarki... Sieroty bez rodziców, majątku, stanowiska, do jakiego z urodzenia swego, więcej niż pewno, że były przeznaczone, gdy powyrastały, stawały się żonami strzelców naszych, lokajów, kucharzy i w ogóle niższych oficyalistów.

Wnet po przejściu Napoleona władze policyi ziemskiej w obawie moru przystąpiły do oczyszczenia pobojuwiska w Ściudzionce. Z całego tedy powiatu nakazano dać ludzi, a kozacy codziennie przypędzali ich nad Berezynę tysiące. Mrozy były siarczyste, ziemia głęboko zamarzła, przeto, gdy nie można było grzebać, rozkazano trupów wraz z końmi na stosach wielkich palić. Wnet chłopci spędzeni przystąpili do roboty: od rana do nocy wyciągano z Berezyny karety, wozy i powozy i wydobywano z nich matki z małemi dziećmi, mamki z niemowlętą, wyciągano furgony, ambulanse, armaty, jaszczyki. Wszystko, co się z wody wydobywało, na pobojuwisku spotkało, lub przy zabitych znalazło, stawało się własnością niezaprzeczoną tych, co zabitym i potopionym osta-

<sup>1</sup>) Tak mieszkańcy okoliczni zowią słynną Studzienkę.



nią czynili posługę. Powozy obdzierano, pojazdy i znajdujące się w nich szkatuły z kosztownościami, klejnoty, ubrania, sprzęty zabierano; ładowano ogromne bryki amunicją, bro-

nią, mundurami, siodłami, uprzężą i do domów odsyłano bez zapytania lub zezwolenia jakiegokolwiek władzy.

c. D. N.

M. F.



## Listy do Redakcyi.

Spieszę najgoręcej podziękować p. Jadwidze Milewskiej za łaskawą wzmiankę (w № 31 „Ziemi“) o Inianym sagatysie mazowieckim, o którym nie wiedziałem. Dał mu początek niezawodnie sagatys wyrabiany dawniej z wełny i kto wie, czy go gdzie jeszcze dotąd z wełny nie wyrabiają. Gdyby tak wszyscy czytelnicy, jak p. Milewska, raczyli reagować na to, co czytają w „Ziemi“, dowiedzielibyśmy się nieraz bardzo ciekawych rzeczy, o których, jak o sagatysie, wiemy coś albo zgola nic. Dodam, że sagatys, zwany w łacinie średniowiecznej także *sagetum*, był w Niemczech również nie tylko zdawna znany, ale, zdaje się, już w XIII wieku wyrabiany, skoro płaci się nim wtedy pewne powinności poddańcze (zobacz J. Grimm. Rechtsalterthümer str. 379).

To też zachęcony łaskawą uprzejmością p. Milewskiej, ośmielam się zwrócić z gorącą prośbą do czytelników z parafii międzyrzeckiej o szczegółowe wyjaśnienie, co u nich nazywa się *zamsem* (zamszem). W wybornem i bardzo cennem dziełku ks. Pleszczyńskiego „Bojarzy międzyrzecy“, jest objaśnienie tego wyrazu, ale niestety bardzo skąpe, a zdaloby się obszerniejsze i fotografia takiego zamsu wraz ze ścianą (zamszem nazywają tam rodzaj okienka). Zamiast *zams* mówią tam także *pi kul*, otóż dodatkowe pytanie: czy wyraz ten dobrze wydrukowano, tudzież, czy nie używa się on tam w innym jeszcze jakimś znaczeniu. Redakcja „Ziemi“ wydrukowałaby to niezawodnie i pomieściła rycinę, a ja odwdzięczyłbym się nowymi szczegółami o sobotach i zamszu.

S. Matusiak.

oooooooooooo

### Przebieg pogody w miesiącu lipcu 1912 r.

Sprawozdanie Kom. Flzyograficznej P. T. Kr.

Przez lipiec ubiegły panowała w Królestwie przeważnie piękna letnia pogoda. Tylko od 2 do 6 lipca było przeważnie pochmurno i dżdżysto, a razem nieco chłodno; minimalne temperatury wynosiły 5—6° C. Potem nastąpiło mocniejsze ocieplenie, miarkowane orzeźwiającymi wiatkami wscho-

dnimi. Bardzo upalne temperatury 30—32° C. w dniu notowano tylko w dniach 28—30 lipca.

Średnie temperatury miesięczne wahają się koło 18,4 C. i są o 0,7 niższe od normy.

Trwanie usłonecznienia także wykazuje niedobór: w Warszawie słońce świeciło 218 godzin, gdy średnio na lipiec przypada 246 g.

Pomimo wzmoczonego zachmurzenia opady były rzadkie i skąpe, chociaż miejscami zdarzały się krótkotrwałe ulewy z towarzyszeniem burzy. Tu i owdzie spadły grady. Wogóle opady miały charakter lokalny. Wysokość ich za cały miesiąc waha się tylko koło 47 mm. w 9—10 dniach, gdy średnie 12-letnie wartości wynoszą 83 mm. w 15 dniach. Wszelako w niektórych okolicach Kaliskiego, Piotrkowskiego, Warszawskiego i Suwalskiego dosięgają 70 mm. i więcej, miejscami zaś nie dochodzą nawet 30 mm.

Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie pogoda była zupełnie inna: bardzo dżdżysta i chłodna.

Na początkn miesiąca przez Europę środkową przeciągnęło kilka mało głębokich niżek barometrycznych, które sprowadziły wiatry zachodnie i deszcze, lecz rychło ustąpiły miejsca wyżce, która nadciągnęła z zatoki Biskajskiej i ustaliła na długi czas pogodę piękną. Kilkakrotnie nadchodziły depresje z Atlantyku, lecz nie docierały daleko w głąb Europy, rozszczepiały się na niżki drugorzędne i zapanowały nad pogodą tylko przemijająco i na szczyplejszych obszarach.

Niżej zamieszczone są dane ze stacyi P. T. Kr.

a) Temperatura:

Nowa Słupia: Temp. średnia mies. 19,0. Temp. maks. + 29,5 dnia 29-go. Temp. minim. + 9,7 dnia 6-go.

Jędrzejów: Temp. średnia mies. 17,9. Temp. maks. + 29,9 dnia 29-go. Temp. minim. + 9,4 dnia 17-go.

b) Opady:

	Wysokość w mm.	Liczba dni
Suchedniów (p. kielecki)	43	15
Bieliny	59	15
Św. Krzyż	88	16
Nowa Słupia	50	15
Jędrzejów (p. jędrzejowski)	47	13
Wysokie (p. krasnostawski)	38	13

c) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 222 godz.



## Nowe książki.

*Przewodnik po zdrojowiskach i miejscowościach klimatycznych w Galicyi, opracowali: dr. Stan. A. Lewiński, dr. Miecz. Orłowicz i dr. Tadeusz Praschil. Lwów 1912 rok, str. 303. Cena 3 kor.*

Nakładem Krajowego Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk we Lwowie wyszła praca ta, istotnie jak na nasze stosunki niezwykła. Przeznaczona jest dla nietytyle i nietylko lekarzy, ale dla szerokiej warstw publiczności polskiej, zwłaszcza tych, które na wyjeździe do Karlsbadu czy Meranu lubią narzekać, że u nas niema gdzie jechać. Wolno mniemać, że wydanie tej książki położy kres niejednemu z takich utyskiwań, wobec postanowionego wyjazdu gdzieindziej — conajmniej zbytecznych. Przyznać zresztą trzeba, że nawet ludziom, nieco lepiej obznajmionym z krajem własnym i jego bogactwami, książka sprawić może bezmała imponującą niespodziankę: popierwsze ogromną poprostu ilością miejscowości — na terenie samej tylko Galicyi — gdzie można znaleźć zdrowie, spokój i niekiedy urzędzenia nieco wyższego już rzędu, a powtóre, że z wydaniem tak sumiennie, pomysłowo i ładnie opracowanego „Przewodnika“ poradzono sobie tak sprawnie i szybko.

Układ jest bardzo prosty, jasny i bardzo celowy. W alfabetycznym porządku umieszczono z górą 220 miejscowości, od najbardziej znanych i renomowanych uzdrowisk poczynając, do skromnych wiosek i miasteczek, gdzie się już jakie takie bodaj wytworzyły warunki możliwego przepędzenia lata. Przy każdej nazwie opis, mniejszy lub większy, zależnie od wielkości i wagi miejscowości. Zatem położenie (powiat), ilość mieszkańców, komunikacye, urzędy w miejscu znajdujące się, charakter okolicy (górski, podgórski, leśny i t. p.), mieszkania (adresy i nazwy ważniejszych will, ceny, ogólna ilość rozporządzalnych na letniku pokoi), środki żywności i ich łatwiejsze czy trudniejsze zdobycie, środki lecznicze (ze szczegółową zwykle analizą), pomoc lekarska, rozrywki, najważniejsze dane krajoznawcze (ruiny, osobliwości i t. d.). Ogółem zajmuje to niekiedy 10—15 wierszy petitu, a niekiedy i kilkaset (Zakopane, Krynica). Poza tem przy odpowiednich miejscowościach podane są w kilku miejscach związane, rzeczowe ale bardzo ciekawe i dobrze informujące opisy większych łańcuchów górskich, nadają-

cych się do wypraw turystycznych. Są zatem przy Szczawnicy — Pieniny, przy Zakopanem — Tatry, przy Tuchli — Bieszczady, przy Tatarowie — Gorgany, przy Worochcie — Czarnohora, Karpaty Marmaroskie i Alpy Rodniańskie, przy Skalacie wreszcie Miodobory. Jeżeli dodamy do tego około 350 doskonałych ilustracyi, z których większość jest ślicznie wykonanymi krajobrazami, widokami zabytków, typów i t. p., kredowy papier, ładny druk i staranną korektę — nietrudno będzie uwierzyć, że „Przewodnik“ mimo swą treść pozornie suchą i monotonną, jest książką, którą się chętnie i niejednokrotnie bierze do ręki. Niema tylko niestety — koniecznego zdawałoby się uzupełnienia tyłu cennych i tak celowo zebranych wiadomości — mapy uzdrowisk i letnisk w Galicyi. Zastąpiono ją na razie zwykłą, niewielką mapką (1:2,000,000), obiecując opracowanie mapy specjalnej przy następnem wydaniu, które ma się ukazać już w r. 1913.

Życzyć go można nakładcom jak najszczerzej, winszując zarazem dobrego pomysłu i doskonałego wykonania.

T-t.



## Odpowiedzi Redakcyi.

*Ks. Kazim. Jungowi we Wrzący Wielkiej.* Chcąc należycie przedmioty te zdetiniować, należałoby mieć je w ręku. Bez tego możnaby udzielić wiadomości bardzo ogólnikowej, jeżeli nie wręcz bałamutnej. W razie nadesłania zapytywanych kótek do obejrzenia chętnie wyjaśnieniami służymy.

*P. St. Jar. w Wilnie.* Sprawę tę przekazaliśmy do rozpatrzenia i ewentualnie załatwienia zarządowi P. Tow. Kr. Rzeczy to bolesne, ale o ile o zarządzenie tu chodzi, bynajmniej nie łatwe. Za wiadomienie nas bardzo dziękujemy.

*P. J. O. K. w Sieradowie.* Adresów takich nie posiadamy. Listownie odpowiadamy tylko w razie nadesłanie marek na porto.

---

**TREŚĆ:** *Stanisław Lenczewicz* — O znaczeniu wykopalisk (c. d.). *M. Federowski* — Zbiory graticzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem (c. d.) (z 7 ryc.). *Regina Danyszówna* — Wycieczka na Popadę (z 2 ryc.). *M. F.* — Witebsk i Witebszczyzna (c. d.) — Listy do Redakcyi. — Meteorologia. — Nowe książki. — Odpowiedzi Redakcyi. — Poza tekstem: Jezioro długie w pow. kolskim. Włościanin z pow. Iepelskiego. Cieśla z Lepła.

---

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.